

Zwiazek małżeński zawarli w Rosycie 1920 roku, w Jaworniku Polskim woj. Rzeszów. Ludwik i Katarzyna pochodzili z rodzin wielodzietnych. Od rodziców dostali ziemię. Katarzyna miała 3h w 7 kawałkach, Ludwik 2h. w czterech kawałkach. Mieszkali w starym drewnianym domu. Wkrótce urodzili się dzieci Walereia i Franek. Ciesiło było pracować na takich działkach więc postanowili, że Ludwik na zachód wyjedzie za pracę, a wróci jak trochę zarobi. Ludwik wyjechał do Argentyny. Był młody, ciesiło pracować ale i dużo zarabiał. Często przysyłał dolary i paerki. Katarzyna w tym czasie zaczęła ziemię sprzedajeć i z bratem Władysławem jedzie do Sambora woj. Lwowski i tam kupuje 7 hekt. ziemi, w wsi Ciapki. Mieszkała tu też polscy osadnicy. Po zatwierdzeniu formalności, brat Władysław szumnie zajmuje się budową, a Katarzyna Bura dostarcza pieniądze. W sąsiedztwie około 400 metrów buduje się enajomy rolnik, nazywa się Wielgosz. Ludwik wraca do Polski 1932r. Zastaje dom i obory murowane, stodołę i ogrodzone obejście. Obok domu posadzony utody sad. Są szczęśliwi. Mają trzy krowy, kłazę ze źrebicami. Dokupiają narzędzia rolnicze gdyż Ludwik przywozi ze sobą złoto i dolary. Uchodzą za bardzo bogatych. Rodzina powiększa się o następnych dwójkę dzieci. W sąsiedniej wsi mieszkają Ukraińcy. Sienawichy Polaków. Często nocami napadają, rabują, bestjałsko mordują albo podpalają. Pewnej niedzieli Wielgosz wyjechał na wesele. W domu została żona z dwójką małych dzieci. Karcia miała pięć lat a Jasi sześć miesięcy. Ten Wielgosz wrócił do domu to tak knyerat że uwas go było słychać. Tato pobiegł zobaczyć co się stało. Mówił że w tory stanęły mu na głowie z przewręcenia. Na drzwiach domu był gąsiec przybity. Karcia rozkrakiem na szereble płotu rozkrakiem nadziawa, a Wielgoszowa leiała w kuchni na podłodze i odcisnęła pierściami. Nie żyła. Z domu wszystko zabrane, z obory krowy i świnie. Zostały tylko proszta i koni który nie dał się wrzucić, bo obcych gryzł i kopał. Takich przypadków było wiele. Męczy nie udało się udowodnić kto to zrobił, gdyż za dnia Ukraińcy polakom sprzyjali nawet razem wódki pili. To jakimś czasie chodzili w zarabowanych hecach. Poliejanci też się ich bali. Noce polscy trójkami strużowali. Myśmij też padli ofiarą rabunku. Gdy rodzice wyjechali na odpust do Sambora. W domu zostaliśmy my, to znaczy ciworo dzieci i ciocia. Rodzice myśleli że nikt niewie o ich wyjeździe. Ukraińcy przysli do nas w środku nocy. Najpierw otruli psy, potem jakoś wleli do domu. Cioci usta zakneblowali, zbili, związali i rucili na gnojownik. Siostra Walereia i Franka bili i pytali gdzie są pieniądze i złoto. Wszystko z domu zabrali. Mnie i siostrę też bili a potem zamknęli w skrzywniach po neerach. Mnie by też nas rabili ale ktoś ich spłoszył i uciekli. Książeczki oszczędnościowe, pieniądze i złoto rodzice mieli ze sobą. Ciocia po tym pobiciu zachorowała i rok później umarła. Za pieniądze z jednej kniszeczki na której było 600zł. rodzice kupili wszystko co było potrzeba i postanowili już nie opuszczać domu. Już na początku 1939r. zaczęły latały samoloty. Bydło było niespokojne, psy wyły. Rodzice myśleli o sprzedaży gospodarstwa, nie zdążyli. Wybuchła II. Wojna światowa i tats zabrali do wojska. Był pod Kownem i Bzresiem litewskim. Tam jego jednostka została rozbita obszerstwie. Wrócił po dwóch tygodniach, siwy jak gołobek z rana na ucho i rse.

Mówił że bomba spadła obok niego, poraniła, a jacyś ludzie dali mu ewilne neery. My dużej nie poznaliśmy go, tylko mama, Alinety Świstu Bożego Narodzenia, a po Nowym Roku nocą 25 stycznia 1940r. pod nasz dom podjechały sanie. Słyszymy strąby tato nie otwiera, jak się okazało to nasze psy zostały zastrzelone. Wywazyli drzwi i weszli do domu, dwóch rozjan i ukraińskie znajomy z sąsiedniej wsi. Karali się ubierać i na same popakować najpotrzebniejsze neery. Tłoto i pieniszozę zabrali. Skorij, skorij popędzali. Nie wolno nam było płakać, bo mówili że nas porabijają. Zawieźli nas do Sambora i karano wszystkie przedmioty do wagonu towarowego, który stał na stacji pusty. Potem z innymi saniami i innymi jakimiś rodzinami w tym jedna ukraińska, która była chorą. Potem zaryglowali drzwi od zewnątrz i te małe okienka. Na pytanie gdzie nas powieziecie, to jeden ze śmiechem powiedział że do raju. Dojechaliśmy do jakiegoś pociągu i jechaliśmy w nieznalym kierunku. Rodziny na przemian modliły się albo płakały. Tylko ukraińska w kąciek postękiwała. Czasem pociąg zatrzymał się ale nie na długo. Stukaliśmy wtedy do drzwi prosząc o wodę i tace było z potrzebą, ale nikt nie otwierał musieliśmy sobie radzić sami.

Po jakimś czasie karano nam wysiąść i czekać w poczekalni dworcowej. Ukraińska nie wysiadła zmarła. Tato nam powiedział że wrócisz do domu do Polski. Tu pilnowano nas trzech żołnierzy z karabinami. Na dworcu mieliśmy wodę i ustępy, ale było bardzo zimno. Wzięłyśmy mamy kaszel i katar. Po tygodniu rodzice nas namawiają żebyśmy robiły kupy byle gdzie to nas gdzieś zakwaterują. Jedzenie się kończy, rozjanie się wściekają. Po paru dniach zmuszają nas do pozostania i karali załadować się do postawionego wagonu który miał po środku piecyk, po bokach pręce i w podłokach drzwi. Powiedzieli że dostawia nas do transportu, który ładowa okienki przyjeżdżać. Tak też było, bo już następnego dnia wiercono nas dalej i dalej od Polski. Czasem otwierano drzwi wagonu karano podać wiadro do gorącej wody i dać kawałek kawy albo chleba albo suchara. Na jednej ze stacji karano opuścić wagon i iść do łazienki. Wychodziliśmy nago całymi rodzinami. Popryskali nas rzedkim szarym mydłem, a ubrania nasze powieszono na hakach i wstawiono do paralni. Wychojąc ubieraliśmy te same neery, które śmieciowały jak spalona skóra. Ale już nie wrażliwość do wagonów tylko na samochody były to brezentem. Tym samym samochodem jechaliśmy kilka dni. Wcześniej czasem w jakiejś szkole to było w cerkwi. Wtedy też do jedzenia dostawialiśmy po kawałeczku chleba i wody do picia. Kiedy dojechaliśmy do rzeki Dniestr ekwudniści karali znów nasze neery przenieść na zanie. Konwojenci się zmieniłi, byli ubrani w koczne wólenki i ciepłe eranki. Tylko my maraliśmy okropnie, wzięliśmy o głodzie i chłodzi. Jeden z N.K.W.D. był prawolopodobnie ukraińskiego pochodzenia. Cłowiek bardzo okrutny i wielki strasista. On to wstawił powiedział nam jakimiś już do baraków dojechali i Teraz musicie zapamiętać o Polsce, tu nie macie żadnych praw, bo jesteście naszymi niewolnikami i wrogami rosyjski. Musicie się przygotować do tutajszycy warunków życia nie uciekacie, bo z tego uciec nie ma. Ikaridy z was got dotab musi pracować w lesie. Dla dzieci też się robota znajduje. My mamy takie porzekadło: Kto nie robotajet —

tot nie kuszajet". Za pracę dostaniesz 20deka chleba msieryni, kobiety 15deka chleba, a dzieci do lat pięć 10deka chleba i kwaterkę mleka na dzień. Z chlebem to było jako tako, ale mleka regularnie nie dostawali. Bywało iż i tyranów nie przywieźli ani kropli mleka. Mieszkałiśmy w tych barakach po czterdzieści rodzin. Po obydwu bokach były przyce zrobione z nieobrobionych desek. Na przyceach śmierzono śloma leżąc. W szparach między deskami były pluskwy, a pośrodku baraku co kawałek stał zielony piccyk. Już następnego dnia musieli wszyscy iść do roboty. Jedni spuszerali drewno. Drugi koniami ściągali nad Jrtysz. Kobiety i młodzież robiły szagi, a dzieci zbierali szorapy na opał albo przy tartaku układaliśmy obrzynki. Praliliśmy w ługu, zrobionego z pobiota drewnianego. Popiół był zalkwany gorącej wodą, a gorąca woda się ustala praliliśmy w niej białki bo mydła nie było. Wodę mieliśmy z Jrtysza na którym były zrobione przemble. Ludzie takich przembli więcej robili, bo kto umiał próbował łapać ryby. Czasem się komuś udało. Głodowali i maraliśmy okropnie. Nie przystosowani do takiego klimatu bez ciepłej bielizny i butów. Łoboczenie ktoś w baraku umierał. Żeby coś z tubylemami zamienić na kawałek chleba albo pars ziemniaków trzeba było iść kilka kilometrów, a przedtem dostać rozwiętkę (przepustkę) od enkawentysty. Młotki przeważnie szli w niedziels przez tajgę do koczowniców. Często zdarzało się tak że zabłądzą i zamoreli. I moja mama dwa razy zabłądziła. Jedną raz ja przyniesiłam i przed barakiem na cieżali śniegiem żeby wróciła do życia. Potem brat Franek postanowił pojechać na ryby. Kiedyś msieryni Łowicy ryby opuszczały przemble, a miało się tu więcej. Franek wziął wiadra jak co dzień i niby to po wodę idąc i białą firanę której ruscy nie chcieli zamienić na żywność, a która miał nadzieję ryb ułapać. Z brzegu Jrtysza w przembli ułapał woda, postawił wiadra na sankach żeby woda zamareła, a sam poszedł dalej do innego przembla i wpuścił do niego pół firany. Po krótkim czasie, bo może był siarczysty mróz przymarzała. Padał drobny śnieg i widoczność była mała. A w tym czasie na obchodzie był Pietruiniak, który panował nad sankami. Zobaczył wiadra i wodę, ale Franek nie widział że szedł w jego kierunku. Gdyby go zobaczył napewno by go zabił. Franek jak stwierdził że fiłanę nie może wyciągnąć owinął się tą firaną która była na powrozek i w wielkiej rozpacz z całej siły knyknoś-puse-eraj - Pietruiniak się przestraszył i niekając poślizgnął się i wpadł do innego przembla. Nie mógł sam wyleźć. Raz po raz wołał o pomoc. Tato jak zauważył że Franek długo niema poszedł go szukać. Wiedział do którego przembla chodził Franek po wodę. Wziął ze sobą kij, tratę na wiadra z wodą. Franek w tym czasie doszedł do Pietruiniaka i chciał go wyciągnąć, ale nie dał rady. Włoto lud był bardzo ślicki. Franek wołał - pomocy - firanę zostawił w przemblu. Dobiegł tato i razem wyciągnęli Pietruiniaka. Śnieg przestał padać, ale mróz był coraz większy. Kilka minut starczyło żeby Pietruiniaka buty do końca przymarzały. Pietruiniak był tą kspicła, osłabiony i nie mógł się oderwać. Tato udawał że ten mu nie może pomóc. Pietruiniak postanowił wyciągnąć nogi z butów. Wrócił do kantora w samych skarpetach. ~~_____~~ Franek te buty przyniósł do baraku. Przestraszonego Pietruiniaka zabrali nie było go dość długo a jak wrócił